

JAN MARCINEK

## WALKA O SZKOŁĘ (Opowiadanie prawdziwe)\*

Chociaż w Dziekanowicach istniała już szkółka parafialna o jednym nauczycielu, to jednak na 13 wiosek, wchodzących w skład parafii, niewiele mogła dokazać. Ponieważ posiadała 2 nieduże sale, a dzieci w wieku szkolnym było tysiące, nic dziwnego, że przymus szkolny prawie nie istniał. Mimo to początek był już zrobiony – a wschodząca jutrzeńka oświaty, chociaż słabymi błyskami, poczęła oświecać mroki wiekowej ciemnoty i zacofania.

We wsi pogadywano, że wkrótce nastąpi przymus posyłania dzieci do szkoły, czego się powszechnie bardzo obawiano. Być może, że byli i tacy, którzy pragnęli, by choć jedno z ich dzieci jako tako czytać i pisać umiało, lecz nędza w chałupie była powodem obawy, bo chceszli wysłać dziecko do szkoły, potrzeba go ubrać, kupić książki, a w zimie obuć i dać mu chleba na drogę, a to wszystko daleko przewyższało możliwości ubogiego chłopca – co gorsza, szkoła oddalona była od Bieńkowic o 6 km, nauka rozpoczynała się o 9 i z godziną przerwą trwała do godziny 15, a dziecko potrzebne było do pasienia krowy lub do kołysania młodszego braciszka. Tylko bogatsi gospodarze mogli sobie pozwolić na ten „wymysł pański”, a takich było niewielu.

Oprócz codziennej nauki odbywała się także nauka w niedziele. Gdy dziecko ukończyło naukę codzienną, zmuszone było chodzić przez następne 3 dni na naukę do „niedzielnej”. Do nauki niedzielnej mieli uczniowie dość duże książki, traktujące także o rolnictwie, hodowli i sadownictwie. Chłopcy i dziewczęta powróciwszy ze szkoły uczyli się zadań na następną lekcję, z czego korzystali, zwłaszcza więcej ciekawi, rodzice. To była pierwsza nauka o rolnictwie wśród tutejszych chłopów i zachęta do dalszej pracy nad sobą.

I tak powoli, powoli postępowała oświata, a w miarę jej postępu zaczęła ustępować bieda.

---

\* Jan Marcinek – (1881–1951) pisarz i działacz chłopski. Pełny tekst w postaci maszynopisu znajduje się w Archiwum Powiatowym w Myślenicach.

Szynki we wsi, po coraz marniejszej egzystencji, przestały istnieć i wkrótce śladu po sobie nie zostawiły; a głównym powodem upadku tychże było nie tylko ustanie pańszczyźnianego nacisku dworu na kupno trunków, nie tylko porabacyjna działalność misyjna duchowieństwa; powaliła je ostatecznie wzmożona oszczędność wśród chłopów z powodu rozkupienia obszaru dworskiego.

W sąsiedniej Nowej Wsi właścicielem folwarku był Jan Szybowski przybyły z Dziekanowic, nieco oświecony gospodarz. Nie był on wielkim miłośnikiem książek, lecz się nie obchodził bez gazety, a na polityce znał się niezgorzej. Oprócz niego było w Nowej Wsi dwóch postępowych, ale niebogatych chłopów, nazwiskiem Miękiny. Obydwaj byli pojęć klerykalnych. Starszy z nich, Jan, straszny uparciuch, znający sztukę czytania drukowanych liter, posiadał talent poetycki, tak że jeden z jego wierszy dostał się na łamy jednego z czasopism ludowych. A że lubił czytać, zaś pamięć miał niezgorszą, nabył dużej wprawy w tej sztuce. Był zagrzebany w Piśmie Świętym i w Żywotach Świętych tak dalece, że trzeba było dobrze giętkiego w umyśle księdza, by mu sprostął w dyspucie. Młodszy, Tomasz, czytał więcej powieści historycznych i romansów i był cośkolwiek mniej pobożny od brata. Czytanie przez niego romansów było może powodem, że go podejrzewano, zwłaszcza po stracie żony, o trójkąt małżeński. Czy słusznie czy niesłusznie, Bóg to raczy wiedzieć, a zresztą to nie ma wiele do rzeczy, bo nie zmniejsza jego zasług, położonych w pracy nad rozbudzeniem oświaty, nie tylko w swojej gminie, lecz także w Bieńkowicach. [...]

Tak jeden jak i drugi Miękina mogli z dumą powiedzieć, że znali osobiście ks. Stojałowskiego, byli na jego Mszy św. i z nim rozmawiali. Oni też pierwsi prenumerowali gazetkę „Wieniec i Pszczółka” i rozszerzali ich czytelnictwo wśród nielicznych umiejących czytać chłopów.

Tymczasem sława i nauka polityczna ks. Stojałowskiego rozchodziła się coraz dalej, budząc coraz to więcej chłopów do życia politycznego. Poczęła wznosić się między chłopami potrzeba oświaty. Były to jednak nieliczne jednostki, bo reszta wciąż spała w wiekowej niemocy ducha. Jednak podjęta praca oświatowa nie ustawała i poczęła wydawać owoce.

Maciej Rozwadowski był wójtem. Choć ciężka praca i liczne kłopoty pochylały mu bary, jednak umysł jego zawsze był czynny, a doświadczenie życiowe przysparzało mu rozumu. Zrozumiał wreszcie, że mała szkółka w Dziekanowicach nie może pokonać ciemnoty w całej wielkiej parafii, że potrzeba pomyśleć o budowie własnej szkoły. By to wyjawić przed Radą Gminną nie miał jednak odwagi, bo znał aż zbyt dobrze swoich chłopów i wiedział, co go czeka z ich strony. Mimo to postanowił coś zrobić. Ponieważ pogadywali o tym Szybowski i obaj Miękinowie, więc i on osmielił się i przyłączył do nich. Postanowili rozpocząć agitację wśród chłopów w Bieńkowicach i Nowej Wsi w nadziei, że się im uda, tym pewniej, że Sejm lwowski uchwalił znaczne subwencje na budowę szkół w Galicji, z czego wypadałoby koniecznie korzystać. Pomylili się grubo w swoich przypuszczeniach.

Gdy tylko Maciej zwierzył się przed swymi najzaufańszymi zawrzało we wsi, jak w piekle dantejskim, a na jego osobę posypały się gromy. Pomimo wielkich zasług, jakie dla wsi położył, poczęto wyzywać go od największych łajdaków, pańskich lizuniów, oszustów i jakie tylko najpotworniejsze wyzwisko można było wymyśleć. Wkrótce jego powaga spadła do zera, a ci, którzy po kupnie obszaru dworskiego podziwiali i uwielbiali jego rozum, uważali go teraz za największego głuptaka; schodzono się potajemnie po chałupach i naradzano się, jakby go przed władzami oczernić i usunąć z wójtostwa.

– Precz z Maćkiem! Po co nam skoły, skoro nase dzieci nie będą panami – krzyczano po wsi. Maciek jak kce skoły, to niech sam stawio, a nos nie namawio do podpisów.

Ale Maciej Rozwadowski znosił wszystko cierpliwie i robił swoje.

W Dziekanowicach dowiedziawszy się, że Rozwadowski namawia do budowy szkoły, a chłopci się wzbraniają, postanowili z tego skorzystać. Ówczesny kierownik dziekanowickiej szkoły, Kazimierz Jodłowski, wiedział dobrze, że czy pierwiej, czy później w parafii dziekanowickiej, z powodu bardzo rozległego terenu, musi powstać co najmniej kilka szkół, a i drewniana szkoła w Dziekanowicach niedługo opierać się będzie zębowi czasu, w mig sporządzili plan i kosztorys nowego budynku o kilku salach i mieszkaniu dla nauczyciela – dla całej parafii, w nadziei, że koszta budowy poniosą wszystkie wsie w parafii. W tym celu zwołano zebranie, na które zaproszono przedstawicieli z poszczególnych gmin, proboszcza i właścicieli obszarów dworskich, prócz Macieja Rozwadowskiego, o którym wiadano, że się na budowę szkoły w Dziekanowicach nie zgodzi. Na jego miejsce wezwano kilku opornych chłopów, z podwójcim na czele.

I byliby na budowę szkoły wszyscy się zgodzili, gdyby nie obszarnicy.

Kierownik czytając kosztorys wymienił koszty budowy pieców, z którego wynikało, że jeden piec miał kosztować 30 złr. Wtedy hr. Lasocki zabrał głos i mówi: „Ja się na to nie godzę. U mnie we dworze jest kilka pieców, lecz żaden nie kosztuje więcej jak 5 złr.”, a powiedziawszy te słowa, wdział czapkę na głowę i opuścił zebranie.

Chłopi i obszarnicy zrobili to samo. Wyszędłszy chłopci obstąpili Lasockiego wkoło, rzucili się mu do kolan, dziękując, że on jeden miał śmiałość sprzeciwić się księdzu i nauczycielowi.

Że budowa szkoły w Dziekanowicach nie doszła do skutku zawiniłi nie chłopci, lecz obszarnicy. Wprawdzie wybudowano nowy budynek szkolny o dwóch salach, ale znacznie później. A szkoda, że się tak stało, bowiem w budynku, który wówczas projektowano mogłoby się mieścić gimnazjum parafialne.

Chłopi widząc, że Macieja nie usuną z wójtostwa, poczęli się naradzać, jak tu zapobiec nieszczęściu, a bali się, że im grozi zupełna ruina. Głowiono się

długo, aż nareszcie postanowiono wysłać pismo w tej sprawie do cesarza przez specjalnego posłańca. Pismo miał wystylizować, rozumie się po niemiecku, Żyd z Wieliczki, a na posłańca upatrzoneo Walentego Włocha, gospodarza z Sierakowa. Włoch był długoletnim żołnierzem, znał dobrze Wiedeń i był już u cesarza we własnej sprawie. Toteż zgodził się chętnie na podróż do Wiednia. Ale gdy się dowiedział, w jakiej ma jechać sprawie, poskrobał się po głowie i mówi:

– Na to cysorz nigdy się nie zgodzi, poniewoz pragnie, by miół nie tylko umiejących cytać i pisać żołmyrzy, lec także przez skoły pragnie podniyś gospodarstwa chłopskie i zamożność w kraju. Cysorz moze sie jesce na to zgodzić – dodał po namyśle – ze wy chcecie skoły, lec nie u siebie, tylko w Dziekanowicach, ale trzeba napisać, ze Dziekanowice przylygają do Bienkówic, bo inacj nic z tego. Pamiyntojcie, ze i w Dziekanowicach trzeba nową skołę budować i to niejedno-piętrowo na tela dzieci.

We wsi wyglądano niecierpliwie powrotu delegatów. Mieli przybyć prosto do Mazura na Potoku, gdzie na nich czekano. Byli prawie pewni, że Włoch zgodzi się na podróż do cesarza, bo znali jego naturę. Wierciło tylko niejednemu w głowie, ile zażąda na kosztą podróży i stratę czasu. – Ale niech kostuje wela kce – mówili więcej zamożni – byle tylko skoły nie było.

– O, niech tego Maćka djobli porwią i zaniesą na samo dno do piekła – skakał po izbie i krzyczał stary Siatka.

– Psio wełna, tu sobie biydny cłowiek na pacynę tabaku ni moze pozwolić, a tu daj na skołę i posyłoj do ni dzieci. Oj, psiokrew, psiokrew – mówił Kuba ze „Sęka”, którego złości podrywały na stołku.

– Ano tak, niby matka – powiada stary Ślusarczyk, zwany „Lubrem” – jo downo wiedziół, alem ta nic nie godoł, ze panowie bedo sie za pańszczyńę mścili. I cy tak sie nie stało? Pojechali do Widnia, potym do Lwowa, ukwolili skoły i zniszą nos do resty. Nie trzeba było panów bić i zabijać. Panowie i ślakta gorsi są, jak syrsenie. Syrseni jak nie podroznis, to nic nie mówią. Ale jak stargos im banię, a jesce jak zabijes ktorygo, trzeba sie oganiać i uciekać daleko, bo jak cie 9 syrseni ugryzie, to śmierć.

– Dobrze godocie, Janie – odzywa się stary Jantusiak – Ale poradzis to z głupiami chłopami. Cy jo nie godoł, ze nie trzeba prowyborców wybiyrac? – jo godoł! Ale lepij było pysk trzymać, bo mnie Maciek nazwoł głuptokiem, a casem to i głupich dobrze posłuchać.

– Ej, cobyscie godali – odzywa się Gawęda – chłop był głupi, jest głupi i będzie głupi.

– Wiyecie chłopcy, co mi w tyj chwili strzełiło do głowy – odzywa się z kąta stary Zimolok – A jak by my się złożyli na Msą św. przed Matkę Boską Nieustającej pomocy do Refermotów w Wielicce? Mowa dać Włochowi, to dejwa Panu Bogu, a moze sie nad nami zlituje.

Chłopi zamilkli, tak że w izbie słychać było latające muchy. Wielu przyszło do głowy że musi być źle, bardzo źle, jeżeli tak mówi Zimolak, którego uważano za mądrego chłopca, bo na posiedzeniach Rady Gminy nigdy nie chwycił za pióro. Smutek i przynębenie potęgował mrok, wkradający się do izby. Za oknami zaszumił wicher, lecz ucichł wkrótce. Po chwili błysło w oknach, co zwróciło chłopów uwagę.

– Łysko się nad „Kamienikiem” – rzekł, wyglądając oknem, Gawęda.

Na podwórzu zaszczekał pies. Prawie równocześnie odezwały się zbliżające kroki.

– Zdaje się, że ido – ozwał się Siatka.

– Ano, ido – potwierdziło kilka głosów.

Twarze chłopów ożywiła ciekawość, zabłysły im oczy na widok wchodzących do izby wysłanników. I nim zdążyli pochwalić Boga zostali zarzuceni pytaniami tak, że nie wiedzieli na które pierwej odpowiedzieć, więc nie odpowiadali na żadne. Dopiero po przywitaniu, odzywa się Czajczyk, znany pod przydomkiem „Skura”.

– Ej, dobre chłopcy, szkoda było czasu, co się zmarniło, bo jacy my głupi zaśli, tacy nazod idziewa. Jo tak zauwozuł, że Włoch jest takigo zapatrywano, jak i nas Maciek.

– A coż wam przecie powiedział? Godojcie! – nalegał Gawęda.

– Ano co powiedział? – mówi zapytany – Powiedział że sie cysorz do nasy prośby nie nakłoni, bo kce zeby zołmiyrze umieli cytać i pisać, a u gospodarzy podnius sie dobrobyt.

– Oj, psiokrew jedna! – krzyknął Siatka, porwał się ze stołka i huknął baraniacą o ziemię, aż podskoczyła do góry – a czegoż ten cysorz taki głupi? – To sie ta podniesie dobrobyt jednemu i drugiemu, jak musi płacić na skołe, okrywać dzieci i posyłać w kazdy dzień – cheba po to, zeby wywłocyły chlyb z chałupy, mitrężyły cas i przywykały do próżniactwa. Bodaj to wsycy djobli wzieni!

– Miarkujcie się, Pietrze, ze słowami – mówi mu „Skura” – bo godocie o cysorzu, a wyrwajo sie wam z gemby przekleństwa i nazywocie go głupim. Wy wyicie, ze co cysorz postanowi, to święte i na to nima rady.

– Nie dobrze radze, ze trzeba zebrać na Msą św. ale wy na to, ani mru, mru – mówi Zimolak, trącąc łokciem Gawędę.

– Jo juz nie wiem, co na to powiedzieć i gdzie sukać ratunku – odrzekł strapiiony chłopina i począł drzemać. Innym także ze strapienia lub lenistwa opadały powieki. Nastąpiło milczenie. Niektórych umysły pracowały w gorączce. Ten i ów zakaszłał z cicha, inny znów zapytał głośnie, by podsyć gasnący ogień we fajce, a podniecony Siatka sapał wciąż, jak miech przy pracy. Od czasu do czasu błyskawica w szybkim przelocie przez ciemne podwórze oświetlała izbę. Czasem warknął w oddali piorun, jak zły brytan zwęszywszy przybysza. W lesie wstawał księżyc i podnosił powoli miedziane oblicze. Na podwórzu jakby dzień nastawał i nieśmiało zaglądał do izby. Znowu mignęła błyskawica, a krótko po niej zawarczą piorun, ale już głośnie.

Głos zbliżającego się grzmotu obudził „Lubra” z zadumy. Przeciągnął się, ziewnął przeciągle, pobiegł wzrokiem przez podwórze do lasu, a zobaczywszy księżyc, mówi do chłopów:

– Ta, nie drzymcie, bo już miesiącek wschodzi. Trzeba przecie co uradzić i zabierać się kazdy do swoi chałupy.

Na te słowa przeciągły pomruk poszedł po izbie. Jeden i drugi przeciągnął się i stęknął jak ciołek. Tamtemu wypadła z gęby fajka i trzasła na ziemię.

– Ano, dobrze godocie, Janie, ze trzeba coś uradzić – ryknął jak wół „Franos” i macał fajki po izbie.

– Ale co radzić!? – krzyknął na niego Siatka.

– To jakim jesteście radnym, jak nie wiycie co radzić? – po jako kolere was radnym obrali? – zaryczał „Franos”.

– Jo tu nie som jest, to za wszystkich godo! nie bede. A wy ze jesteście wołem, bo was kazdy pozno po głosie, to mom za was radzić? Radźcie i wy, boście tu po to przyśli.

– Nie sworzcie się, kochane chłopcy – łagodził „Skura” – bo to nic nie pomoze. Musiwa sie poddać losowi. Jezeli cysorz kce skoły, to musi byc skoła. Zreśtom mowa stawiać skołę w Dziekanowicach, to stawiojwa u siebie.

– A kto wam powiedział, ze musiwa stawiać w Dziekanowicach? – jakim prawem my mowa robić na takich kmieci, jak dziekanowanie? Ta byliście na zebraniu w Dziekanowicach i sami godaliście, ze sie panowie nie zgodzili – i co im się stało? Oni sie tam, ani księdza, ani nauczyciela nie boli – odpowiedział mu Siatka.

– Dobrze, dobrze, ale cysorz przy tym nie był i tego słysoł. Ze sie nie zgodzili dziś, to się zgodzo jutro, bo to jest zarządzenie cysarskie, a o tym powiedział mi Włoch – kończy z naciskiem „Skura”.

– Bodaj ich wszystkich nogło krew załoła. Bodaj wszyscy poskwirykli od bydy i pozdychali, jak te psy wściekłe za nase krzywde! – targając się za włosy krzyczał Siatka.

– Wy prendzy zdechniecie od bydy, jak oni, bo „nim tłusty zbydnie – powiadają – to chudy zdechnie” – zaryczał „Franos”.

– To jo bede zdycho! – coście wy powiedzieli!? – krzyknął Siatka, a zerwawszy czapkę z głowy, rzucił nią w twarz „Franosa”.

„Franos” się podniósł, ścisnął pięść, a zbliżywszy się do Siatki, krzyknął:

– To ty, stary cieluchu, bedzies mnie porozoł copkom! – co? Wścikos sie na mnie, zem ci prowde powiedział?

Siatka, jakby szpilką w tyłek ukłuty, zerwał się z miejsca, a popluwszy do ręki, w której trzymał laskę, krzyknął:

– Odstap, wole, bo na tobie gotów jezdem loske połomać – a mówiąc te słowa, popchnął lewą ręką „Franosa”. I nim chłopci pomiędzy nich skoczyli, Siatka leżał na ziemi, a po twarzy puściła się krew.

To jeszcze bardziej rozwściekliło starego. Niczem lwica broniąca swe dzieci, obrócił żelazny garnek ostrym kantem i rzucił się do walki. Na głowach paru chłopów pokazała się krew. Kilku z nich, zwłaszcza starszych, ustąpiło do sieni i zaczęło rzucać do izby konewki, garnki i co wpadło pod rękę. Ale rzucone przedmioty zwykle chybiły celu i tylko utrudniały bójkę, bo się na nich potykało. Wkrótce i ta reszta walczących chłopów musiała ustąpić, gdyż jednym nie pozwoliły płuca, a drugim krew zalewała oczy. Kobiety wypchnęły ich w końcu z sieni, zawarły drzwi i zasunęły zaporą. (...)

Rozwadowski zaraz na drugi dzień dowiedział się, że u Mazura odbyła się narada i że skończyła się bitka. Wiedział dokładnie nie tylko to, że w chałupie okno wybili, lecz wszystkie szczegóły rozmowy. Spodziewał się, że lada chwila zjawi się Mazurowa, a może przyprowadzi z sobą skałeczoną córkę. Wiedział też co Włoch wysłańcom powiedział, bo owym zarajcą był właśnie „Skura”. Postanowił „kuć żelazo dopóki gorące”. Toteż zaraz po wniesieniu skargi przez Mazurową zwołał niezwłocznie zebranie Rady Gminnej, na które kazał się stawić Mazurowej i przyprowadzić córkę. Pomyślał: „trzeba nastraszyć chłopów, powstać na nich ostro, a potem przyłagodzić sprawę, spowodować wzajemne ustępstwa, pogodzić chłopów i wymóc na nich podpisanie zgody na budowę szkoły. Poprzednio był już w zмовie z Szybowskiem, który miał grunt pod szkołę w Nowe Wsi odstąpić i z Mękinami, prowadzącymi agitację w tamtej gminie. Będąc prawie pewny, że mu się uda nakłonić radnych do podpisu, zaważwał na posiedzenie pisarza, którym był niejaki Woźniak, zwany „Dzióbkiem”, podyktował mu, a ten spisał uchwałę. Nim radni przybyli, już uchwała była gotowa i uradzono, co który ma mówić. Radni zwykli byli przychodzić gromadnie, bo się naradzali po drodze. Tym razem schodzili się pojedynczo, bowiem po zwadzie u Mazura nie zdołali się jeszcze przeprosić. Siatka stawiał się pierwszy z podbitym okiem, obrzuciwszy siedzącą w kącie Mazurową nienawistnym wzrokiem, która chociaż nie miała rany przybyła z obnażoną głową. Po chwili przybył „Franos”, pochwalił Boga i bez podania ręki Siatce (jak to było w zwyczaju) zajął miejsce przy stole. Miał on w kilku miejscach drobne okaleczenia na głowie i duży guz nad lewym okiem. Reszta radnych miała już mniejsze znaki pobicia. Rozwadowski krzątał się po izbie, poglądał ukradkiem na chłopów i uśmiechał się nieznacznie. Wkrótce nie brakowało żadnego. Mimo kompletu, wójt nie rozpoczął jakoś zebrania, kręcił się po izbie, wyglądał oknem, wreszcie wyszedł na pole. Po krótkiej chwili wrócił, prowadząc pod rękę Hojkę. Hojka wchodząc do izby pochwalił Pana Boga, poprosił wójta, bo go zaprowadził do kąta i usiadł na stołku. Wójt zaczął się przechodzić po izbie, poznać było, że nad czymś myśli. Po chwili sięgnął za pas do torby, a dobywając fajkę rzekł jakby sam do siebie:

– Trzeba sobie zakurzyć na pocieszenie i przystąpić do rzeczy.

– Coś za dużo myślicie, wójcie, bo nic nie godocie, jakbyście mieli jakie stropienie – zagadnął go „Franos”.

– A obydzie się to cłek bez stropienia? Jak się nimo swoigo: jak bydło, baba i dzieci są zdrowe, a i człowiek jako tako nozyska włócy, to cie niewdziężni ludziska zreją i przysporzają kłopotu.

– Jo wiem, że są ludziska niedobrzy i często niesłusnie drugich prześladują. Ale o wos to kozdy powinien dobrze mówić, bo gdzie tu znajdzie drugigo takiego wójta, zeby tyle dobrogo ludziom zrobiuł, co wy – mówi na to Jantusiak.

– I wy, kochany Jantusioku, nie jesteście bez winy. W ocy to kozdy przyjo-ciył, kozdy cie kwoli, a poza ocy to huzia na nigo.

– A co jo kiedy na wos powiedział? Kto mi tego dowiedzie – bronił się zarumieniony chłopina.

– Jo wom nie potrzebuję dowodzić, bo prawie wszyscy którzy tu siedzą, wiedzą o tym dobrze. Moze gdybym się pocuwoł do winy, gdyby to wszystko było prowdom co na mnie wygadujecie, to bym się na wos gninywoł i sukoł usprawiedliwienie. Jo się nie usprawiedliwiom, jo wos lubię i bardzo wos za-luję, że jesteście tak głupi i nie umiycie odróżnić złygo od dobrogo. Jo wom wkładom do ręki chlyb, a wy go odpychacie, gardzicie nim, choć jesteście głodni, boście już tak daleko postąpili w swoi głupocie... Jakbym się kcioł mścić za swoją krzywdę, to wielu z wos wisiałoby na hoku – i anibym kroku z chałupy nie zrobiuł, bo do mnie przychodzą dziandary – to inobym słowo powiedział i już jest po wos.

– Mospanie, wójcie, co to który z nos takiego zrobiuł, zeby go za to powiesi-li? – zapytał z lękiem Siatka.

– „Uderz w stół, to się nozycie odezwią” – śmieje się wójt. – Wy myślicie, że jo nie wiyom coście u Mazura nie tylko na mnie, ale i na cysorza godali? Myśli-cie, że na cysorza i wójta wolno kłać i głuptokować? Jo bym wos naucuł rozumu, zeby się późni nie tylko cało wieś, ale cało okolica korała! – kończył pod-niesionym głosem.

– Nie godojcie, kochany wójcie, tak głośno, bo może dziandor stoć za oknami i wysłuchać. Jak się człowiek pogniywo, to niejedno głupstwo z pyska wyleci, a po tym tego żałuje – mówił, głąskając wójta Siatka.

– Nojpiyrw bez boski, a potym bez moi woli nic się wom ani nikomu we wsi nie stanie. Wy świat zezyjecie, i – jak Bóg pozwoli – biyde z wsi wyzeniecie, portki od pierdenio stargocie – a jesce się nie dowiycie, co jo znace i co potra-fie. Ze mnom muso się licyć nie ino dziandary, ale i som starosta. Wiycie wy, co to znacy chłop, który wysłuzuł przy wojsku dwie kapitalicyje i był Fajyrwer-kiem? Jo znom po niemiecku, jo bym wos sprzedoł, jak stare byki, a wy otworzy-cie gardła i nie będziecie wiedzieli, co się z wami stało.



Po tych słowach nastąpiło milczenie. Wójt sięgnął do torby, wyjął siarkowego zapalnika, zatarł o zgrzebne portki, zapalił porcelanową fajkę, która w kształcie kuli wisiała mu u gęby, pyknął kilka razy i zadymił koło siebie, splunął, otarł rękawem potężne wąsiska i mówi:

– Teraz, kochane chłopcy, musiwa sobie pozakurzać fajki, bo przystępujewa do bardzo wozny sprawy. Tu się ozchodzi o budowę skoły, a na to potrzeba uchwoły Rady Gminny. A musicie wiedzieć, że to nie jest ani takie proste, ani łocwe, jak wy myślicie. Jo wiem co wy o tym myślicie i we wsi łozorami mielecie. Ale nie zdajecie sobie sprawy z jednygo. Nie chcecie wiedzieć, że to wydoł cysorz, a wydoł, by nos oświycić i zapewnić nom dobrobyt i szczęście. Wy nie wiycie, że cysorz i ociec święty, to są zostępcami Boga. I jeżeli Bóg jest najmądrzejszy w niebie, to cysorz i ociec święty są najmądrzejsi na ziemi, cyli: komu oni odpusco, to i Bóg odpusci, a co oni zarządzo, to i Bóg zarządzi. Od wyroku tych dwóch najwozniejszych, najlepszych i najmądrzejszych ludzi nima odwołanio. Jo wiem, o co się wom ozchodzi: boicie się kosztów, lekcewozycie nauke, bo nie docyniecie dobrodziejstwa, jakie ona daje, a wielu załuje ło dzieci kawołeczka chleba i obowio się o cas zmarniony w szkole – jesce inni boją się książki w chałupie, jak djoboł kościoła, żeby ich dzieci nie przerobiły się na panów. Wy sami nie wiycie, czego kcecie. Zozdrościcie panom, a nie kcecie, żeby dzieci wase panami ostały. Jezeli skoły Pan Bóg zarządził przez swygo zostępcę, to muso być dobre i koniecznie potrzebne.

– Mospanie – przerywa Siatka – my się nie sprzeciwiowa szkole, ale kcewa należeć do Dziekanowic, a wy kcecie budować u siebie, a tu gdzie i za co budować?

– Do Dziekanowic, niby matka, to nos nie zniewolajo: kto dziecko zapise to chodzi, a u siebie bedziewa zmusani.

– Włosnie ze się o to ozchodzi, żebyście byli zmusani, bo jezeli się płaci na szkołę, to trzeba i z tyj skoły korzystać. Do Dziekanowic teraz nie zmusajo. Ale jak długo tak będzie? Teraz nie zmusajo, bo nimo placu na więcy dzieci. Pocekojcie, jak nos juz ostatecznie przyłaco do Dziekanowic, to nom kożą stawiać nowo szkołę o śtyrek, abo więcyj piętrach – i dopiyo wtedy poznacie, co to znacy.

– Słusnie godają wójt, bo nom i Włoch tak samo powiedzioł – wyrwał się „Skura”.

– Oj ty, psiokrew, lizoniu! To tako u ciebie tajemnica urzędowo? – skarcił go Gawęda.

– U mnie nic nie jest tajemnicom – śmieje się wójt – bo wyście jesce nie wrócili od Włocha, a jo juz wiedzioł, co do was godoł. Nie blizy to było przyś do mnie, a byłbym wom to samo powiedzioł.

– Dyc wy ta, wójcie tak samo godocie, jak i Włoch. Zdaje się, że nom nic nie pomoze, tylko trzeba się zgodzić na to, co wójt godajo.

– A jakby my tak zrobili, jak radziłem? – odzywa się nieśmiało Zimolak.

– Coście to radzili?

– Ano jo radził, drogi wójcie, słozyć sie na Msą św. przed Matkę Bosko Nieustającej Pomocy, a moze nom wyjedno u Syna Swoigo odwrócenie od nos tego niesczęście?

– Dobrze, i jo sie zgodze i moge dać piyrsy – zaśmiał się wójt.

– Kto wiy, cy to pomoze i cy przyjmią księdzo z obawy, ze sie to sprzeciwiwo cysorzowi? – mruknął Gawęda.

– My jak podpisewa ukwołe, ze sie godziwa na budowę i ozpocniewa roboty, to na Msą św. wypodo sie poskładać, by nom Bóg błogosławił w pracy i na podziękowanie, ze nas rozum oświycił, ze my zrozumieli potrzebe oświaty. A ze podpisewa ukwołe, to wiency jak pewne, bo podpisać musiwa.

– Jo nie podpise, bo nie myśle bata na siebie kręcić – powiada Siatka.

– Wyście go i tak ukręcili i lada chwila pocujecie go na swoi skórze. Kto na cysorza potrafi kłać i nazwać go głupim, ten jest gotowy na wszystko.

Siatka na te słowa pokręcił się na stołku i spojrział niespokojnie do okna. Wójt, wyjąwszy fajkę z gęby, splunął na izbę i mówi dalej:

– Jo juz dobrze te sprawe przemyśłó i obrachowół kosta, jakie pociągnie budowa skoły w Dziekanowicach, a jakie u nos – i przekonółem się, ze jak bedziwa budować u siebie, to nos będzie połowe mniej kostowało. Azeby te kosta były jesce mniejsce, tom sie porozumiół z Nowom Wsiom i z Jankówkom i bedziwa spólnemi siyłami budować. W Nowyj Wsi i w Jankówce juz sie na to podpisali.

– Skoro tak, to moze i nom trzeba sie podpisać? – mówi, spoglądając po chłopach, „Skura”.

– Jo nikogo nie zmusom i zmusół nie bede. Co do mnie i do pisarza, to sie podpisujewa i odsyłowa do Starostwa, a wy róbcie, jak kcecie – rzekł wójt, wyjął fajkę z gęby i splunął przed Siatką.

– No to ktory podpisuje, a ktory nie, bym to zaznacul w protokole? – zapytał pisarz.

– Jo podpise – odezwał sie „Skura”.

– No, to i jo podpise – rzekł Zimolak.

– Kto jesce podpisuje? – pytał pisarz.

– Jo tys – krzyknął Jantusiak.

– A resta co? – dopytywał pisarz.

– Jak jedni, to i drudzy – krzyknął Gawęda.

– To znacy, ze sie wszyscy podpisujo?

– Ano tak, niby matka, wystękał „Luber”.

– Skoro tak – mówi pisarz – to wom przecytom ukwołe, a wy dobrze słuchojcie, na co sie bedziecie podpisować. Wziął do ręki dosyc sporą księgę i czyta:

„Protokół spisany dnia 10 lipca 1898 r. z posiedzenia Rady Gm. w Bieńkowicach, zebranej w pełnym komplecie, pod przewodnictwem podpisanego wójta, w myśl reskryptu Świetnego ck. Starostwa w Wieliczce z dn. 29 maja 1898 r. L:I.S./III. 24867/98, na wniosek podpisanego wójta gminy, uchwalono wybudować nową szkołę o dwóch salach i mieszkaniu dla nauczyciela, na gruncie należącym do gm. kat. Nowej Wsi, która się także do budowy przyłącza, jak również i część gminy sąsiedniej Jankówki. Tutejsza gmina prosi Świetne ck. Starostwo o łaskawe udzielenie potrzebnej subwencji z funduszków krajowych i o dalsze zarządzenia. Uchwałę powyższą powzięto jednogłośnie, prócz Piotra Siatki. Na tym protokół zakończono, odczytano i podpisano.”

– A locego jest tam napisane o mnie? Mocie to zaroz wymazac – mówi Siatka.

– Dobrze, wymaze, ale sie musicie podpisać, ze tego chcecie – odpowiada pisarz.

– Ano dobrze – bierze za pióro i pyta – w którym to miejscu?

– Nie bądźcie znowu taki nogły, bo najprzód musi się podpisać wójt, a po wojcie jo sie podpisę, dopiyo wy na ostatku – tłumaczył pisarz.

– Mospanie, jak chłop chłopa nie rozumiy, to źle, bo jakże go może zrozumiec starosta, a nawet cysorz. Jo sie nie na to podpisuje, co wy i co wójt. Lec sie podpisuje na to, ze mom być wykryślony z protokołu, a wy mnie nie rozumiecie – wyjaśniał Siatka.

– Jo wos, kochany Pietrze rozumiem, ale i wy to musicie zrozumieć, ze co wójt, to nie wy, a co wy, to nie wójt. Wójt jest głowom gminy, a głowa musi być zawse do góry. Teroz mnie cheba rozumiecie?

– Ale nie chce tyz być i na ostatku, bo jo wsędzie piyrsy, a moja głowa także coś worto – bronił się Siatka.

– Nie bedzicie ostatni, nie – mówi pisarz – bo jak wójt podpise i jo, wy zrobicie krzyzyki piyrsy.

Tak się też stało. Jak się można było jeszcze niedawno przekonać ze starej księgi protokołów urzędu gminy w Bieńkowicach, Siatka pierwszy zrobił krzyżyki, pod własnoręcznymi podpisami wójta i sekretarza. Być może, że ta księga znajduje się jeszcze w archiwum Zarządu Gminnego w Sieprawiu a jeżeli nie, to wielka szkoda.